

## Zjawa

Przepływało tamtędy kilka strumieni i dwa potoki – Prochowy i Oliwski. Były wartkie i mimo swych mizernych rozmiarów – mocne. Ich siła napędzała koła kilku młynów i kuźnic. Zanim dotarły do wrót klasztornego folwarku cystersów w Oliwie, przemierzały podmokłe doliny wśród wzgórz łagodnych, pokrytych mieszanym lasem. Jesienią las gorzał szczerym płomieniem liści, kunsztowne kobierce wyściełały pochyłości, mościły leśne drogi. Brązy, czerwienie, żółcie zlewały się w promieniach słońca w barwę dostojną, ale też wesołą. Cały świat dolin i wzgórz, ukrytych źródlisk, zdawał się, jak pod dotknięciem czarodziejskiej różdżki, zamieniać we wnętrze wspaniałego kościoła, gdzie ramy, girlandy, postacie świętych Pańskich i organy natura ozdabiała, rozdając hojną ręką to, co człowiek wydzielał oszczędnie – najszczęstsze złoto. W tej świątyni Boga, jak w raj, żyło wiele zwierząt, nie sposób byłoby wymienić wszystkie. Jelenie i sarny można było zobaczyć z oddali przy wodopoju. Ptaki świergotały radośnie od świtu po zmrok, a wiewiórki tak dalece zaprzyjaźniły się z miejscowymi młynarzami i młynarczykami, że zastępowały im drogę jak żebracy, oczekując na datki. Były też bociany, siedem gniazd szczęśliwych, skąd niosło się do rytmu obracanych wodą młyńskich kół powtarzane wesołe klekotanie. Tam, gdzie bociany, żyły też i żaby. Wieczorami, gdy ptasi ludkowie kulili skrzydła, drzemiąc pośród gęstych krzewów, w dziuplach i gniazdach, odzywały się żaby. Chóry z klasztornych stawów i stawu przy Kuźni Wodnej i Ruczajowego, i tego przy młyńskiej drodze, podnosiły głos, w tle rechotu grały świerszcze. Znaczący potrafili rozpoznać, kiedy który chór brał górę. Cudownie było tu żyć, mając lekką duszę. Młynarz Johann takiej duszy nie miał. Jego dusza była jak kamień młyński, co pękł, i wrzucony w głębie stawu, gdzie karpie i węgorze, zapadł się w muł i choć jest, to już jakby go nie było. Kiedy umarła mu żona, a potem dwoje małych dzieci dołączyło miesiąc po miesiącu do matki i licznego grona swojego rodzeństwa, któremu nie dane było przeżyć roku na tym świecie, młynarz Johann postanowił się powiesić. Odratowali go młynarczykowie. Wisiał już, czuł, jak nogi zaczynają mu dygotać, a głowa pełna krwi pęka od jej nadmiaru. Leżąc w łóżku z pręgą na szyi, pomyślał, że człowiek nie powinien tak umierać, cokolwiek by mu się w życiu przydarzyło. Uspokoił zacnego księdza Idziego, który odwiedził go następnego dnia.

– Nie będę więcej próbował. To było złe. Bardzo tego żałuję – spowiadał się szczerze. Potem wrócił do pracy, praca stała się dla niego modlitwą. Z natury łagodny, spoglądał na

świat ze zrozumieniem, ale ilekroć uległ zachwytowi, łzy pojawiały się w jego oczach. Nie miał się z kim podzielić wrażeniami, uczuciem. Ludzie wokół byli obcy, nie swoi. Nie pragnął nowych związków z tymi, co żyją. Kamienna dusza na dnie stawu zwanego Szeol niczego już nie oczekiwała, miała świadomość, że to ciało kiedyś połączy się z nią, a nie ona powróci do ciała. Przed snem, kiedy ludzie modlą się o błogosławieństwo, Johann błagał Boga o śmierć, żeby we śnie umarł i nie musiał się już więcej budzić. Wierzył w Boga i w to, że kiedyś modlitwa jego zostanie wysłuchana. – Poczekam – dodawał – jestem cierpliwy jak przodkowie mojej żony, Kaszubi. Opadły już niemal wszystkie liście z drzew, nagimi gałęziami targały wiatry, te same, co na morzu budziły złe duchy sztormów, kiedy przed młynem, w strugach deszczu, pojawił się dziwny podróżnik. Zdarzyło się to akurat na tydzień przed świętem Umarłych. Młynarczykowie rozeszli się do swoich domów i tylko Johann pozostał w młynie, i psy. One, ujrawszy nieznajomego, ujadły straszliwie. – Spokój! – gospodarz pokrzykiwał na nie groźnie – bo jak zaraz...odgrażał się, choć nigdy nie podniósłby ręki na stworzenie. Mimo to psy odniosły się do jego słów z respektem, skuliły ogony i wróciły do obejścia.

– Witam wielmożnego pana – kłaniał się gość.

– Witam – odparł młynarz.

Nieznajomy, w lekkiej pelerynce na plecach, w szerokim kapeluszu filcowym na głowie, trząsł się z zimna, był kompletnie przemoczony, woda spływała mu po twarzy, mokre włosy oblepiały szyję ozdobioną, niegdyś być może szykownym, obecnie jednak całkowicie przywidłym żabotem.

Pucołowata buźka promieniała uśmiechem.

– Deszcz, ale się rozpadało – pokazywał na niebo, jakby mówił z kimś głuchym lub cudzoziemcem. Nos, długi jak marchewka i tak samo jak marchewka czerwony, ozdabiały okulary.

– Może pan wejdzie pod dach, osuszy się – zaproponował Johann. Niechętnie przyjmował gości od czasu śmierci żony, ale czy można było postąpić inaczej? „Gość w dom, Bóg w dom”.

– Chętnie, och, jak chętnie – ucieszył się nieznajomy. – Ja bardzo łatwo się przeziębam, w zeszłym roku chorowałem osiem razy.

Śmiesznie podnosząc nogi w czarnych, na wysokich obcasikach i z kłamrą z przodu, butach, podreptał do młynarza. Ubłocony prawie po kolana przypominał czarną czapkę, ze względu na chód bardzo wyszukany, nos niepospolity i czarny strój, taki sam, jaki zwykli

nosić miejsce medycy. Pod pachą dźwigał wielką skórzaną teczkę. Kiedy weszli na ganek, nieznamy przedstawił się:

– Pan pozwoli – znów dygnął, zrzucił kapelusz z głowy. – Jestem Samuel Rhete, doktor filozofii, medycyny, badacz – słowo „badacz” zaakcentował pan doktor szczególnie i jakby z cudzoziemska.

– Johann Schmieden – odparł gospodarz – właściciel tego młyna. Proszę zdjąć z siebie to wszystko, a ja przyniosę ręczniki i koce. Usiądzie pan przy kominku i osuszy się.

Samuel Rhete zdawał się wniebowzięty.

– Jaki pan gościnny, panie Schmieden. Czy kiedyś się odwdzięczę? – gadał bez przerwy, a jeżeli zamilkł na chwilę, to wzdychał jak kobieta.

– Ach! – wskazał na kominek, w którym buzowały płomienie, i całą swoją twarzą dawał do zrozumienia, że to „ach” więcej jest warte od tysiąca słów zachwytu. „To dopiero” zostało przypisane do fotela, „Ojej!” do kocy, „Rozkosze!” do naleweczki z wiśni.

– Wiśnie z własnego ogrodu? – dowiadywał się, stojąc golutki pod kocem, z teczką i kieliszkiem w ręce.

– Tak – uśmiechnął się młynarz.

Mokre ubranie, wyżęte, rozwieszono przy holenderskim, kaflowym piecu w kuchni.

– Tam szybciej wyschnie – zawyrokował Johann.

Doktor filozofii i medycyny rozsiadł się w fotelu przed kominkiem. Jego chudziutkie nóżki poruszały się przed ogniem radośnie.

– Można bliżej fotelik? – zapytał.

– A jakże – odparł gospodarz i pan Samuel Rhete na kilka chwil przerwał monolog pełen ochów i achów, ulegając czarowi ciepła. Gdy młynarz sądził już, że przybysz zasnął, ten zerwał się i otworzywszy teczkę, zaczął szukać czegoś w jej głębinach. Wreszcie wyjął mapę.

– Czy to młyn wodny, który przed laty należał do rodziny Krzysztofa Frese? – spytał – o ten, tu – wskazał punkcik na mapie.

Johann zerknął niepewnie i odnalazszy oliwski Potok, przebiegł szybko jego nurtem od klasztoru w górę biegu, liczył kolejne młyny i kuźnice, wymieniając nazwiska ich obecnych właścicieli, i w końcu wskazał palcem.

– To tu – ten sam punkt.

– Zgadza się – krzyknął Samuel, wstał, klaszcząc w dłonie, a że koc obsunął się z jego ramion, przez chwilę stał przed młynarzem w samych tylko gatkach.

– Przepraszam – wyjąkał speszony. – Ze mną tak zawsze. Jestem entuzjastą. Czy mogę prosić o jeszcze jeden kieliszeczek tej przepysznej naleweczki? To dopiero historia, a więc trafiłem!

– Ależ proszę bardzo – młynarz napełnił kieliszek czerwonym płynem, którego moc i kolor przelewały się na entuzjastę, dodając mu coraz wyraźniejszych rumieńców.

– Nie znałem Krzysztofa Frese – rzekł młynarz. – Mój ojciec kupił ten młyn od wdowy po poprzednim właścicielu, Hildegardy Schütze. Tyle wiem.

– Oczywiście. Proszę się nie lękać – uspokajał doktor, przecierając okulary, które ponownie pokryły się parą. – Ja nie badam praw własności, lecz wypadki nawiedzenia.

Młynarz sądził, że źle dosłyszał. Milcząc, czekał na wyjaśnienia. Nie czekał długo. Pan Samuel Rhete z właściwą sobie niecierpliwością przedstawił, wypijając kieliszek drugi i trzeci, przedmiot swoich badań. Nie wiadomo, co bardziej go rozgrzewało, wino czy słowa.

– Ja, proszę pana, zajmuję się dziedziną, która skupia niewielu uczciwych badaczy. Ludzie nauki z rozmaitych przyczyn unikają choćby posądzenia, że interesuje ich coś, co kojarzy się z magią, czarostwem, demonami, egzorcyzmami etc, etc. Mam nadzieję, że pana to, co mówię, nie przeraża. Ja przeciwnie, poczytuję to sobie za chlubę. Jestem, można by rzec, prekursorem badań tego typu. Ludzie prości i kler, br – wstrząsnął się nie tyle z zimna, co raczej z obrzydzenia – podejrzewają wszystkich poszukujących prawdy o kontakty z diabłem, ale – tu zrobił pauzę i prychnął w powietrze lekceważąco – żyjemy przecież nie w Średniowieczu, lecz w osiemnastym, oświeconym wieku. „Badaniom należy poddawać wszystko to, co daje się zbadać” – napisał mój mistrz duchowy, Achim Buchner. – Czy nie ma racji?

Młynarz nabił fajeczkę i zapalił – Rzeczywiście, żyjemy w wieku osiemnastym. Zgadza się.

Doktor wydał mu się niezwykle zabawny, takiego cudaka, jak żyje, nie widział. Samuel Rhete uwielbiał gestykulować, stąd bez przerwy zrzucał coś z kolan i ramion, a to koc, a to mapę lub ołówek, przestawiał kieliszek z prawej strony na lewą i z powrotem.

– W Lüneburgu przez trzy miesiące badałem pewien dom, który nazywano nawiedzonym. Nikt go nie zamieszkiwał od lat. Nocą miały się tam dziać straszne rzeczy. A ja, proszę sobie to wyobrazić – wypiął pierś dumnie – ja ani przez chwilę się nie wahałem. Gotów byłem złożyć swoje wątłe ciało na ołtarzu nauki. To dopiero była przygoda. Opisałem ją w dwóch artykułach, które mają się ukazać w Londynie. Niestety, opowieści okazały się przesadzone, nie było duchów, tylko jeden duch, w dodatku mało wyraźny i niemowa. Prawdziwy pech. Potem był Königsberg – niestety, z jeszcze gorszym rezultatem. Szczerze powiedziawszy, już wracałem do siebie, znaczy do Berlina, bo tam mieszkam, gdy wpadł mi w ręce przewodnik – rękopis pewnego pól – Niemca, pól – Duńczyka, Pietera Feldgebela. Był on najemnym żołnierzem na żołdzie gdańskim, a potem królewskim dowódcą piechoty, jak mi się wydaje,

choć mogę się mylić. Wojskowe terminy są mi obce. Feldgebel był szalenie spostrzegawczy i wierny w opisie, w dodatku wykazywał się niezłą erudycją. Znał starożytnych pisarzy i często ich cytował, starannie dla każdego z rozdziałów dobierał motta, najczęściej z Wergilego lub Horacjusza. Interesował go otaczający świat i ludzie, miał wyczulone ucho. Jego rękopis otrzymał znamienity tytuł „Opisanie nawiedzonych domów i jeszcze innych dziwowisk, które oglądałem na oczy własne podczas mojego pobytu w Polsce i miejscach nieodległych, kiedym był na żoździe Szacownego Miasta Hanzeatyckiego Gdańska i królewskim Sigismunda Wazy w leciech od 1626 po rok Pański 1629”. Niestety, myszy zjadły połowę tekstu, połowę połowy użyto na podpałkę, słowem, rękopis podzielił los sybilińskich wieszczb. To jednak, co dostało się w moje ręce, stanowi prawdziwy skarb. Osiem przypadków, proszę to sobie wyobrazić, to osiem nawiedzonych domów, przypadki bogato opisane, jak na swoje czasy, dość obszernie udokumentowane. Są mapy, kilka odręcznych szkiców, relacje naocznych świadków. Wyobraża pan sobie moje szczęście? – doktor, promieniejąc, przytulał do siebie teczkę, na koniec ucałował ją głośno.

– Wyobrażam – młynarz pykał z fajeczki i patrzył, i słuchał. Gość dostarczał mu niezłej zabawy.

– Niestety – tu brew doktora zmarszczyła się – kilkadziesiąt lat później przeszli przez Polskę Szwedzi, poburzone wiele budynków. Z wielu nie pozostał kamień na kamieniu. Tak zdarzyło się w trzech przypadkach, które dotąd zaliczyłem: Braunsberg, Wormiditt, Mohrungen. Odnalazłem puste miejsca po młynie, po karczmie i przycmentarnej kaplicy. Rozdział czwarty w dziennikach Pietera Feldgebela – tu otworzył rękopis i odczytał – to młyn wodny na potoku Oliwskim pod klasztorną posiadłością Oliva, własność Krzysztofa Frese. Tak oto trafiłem do pana.

– Miło mi – młynarz odłożył fajkę i zabrał się do przygotowywania kolacji. Od paru lat robił to sam, choć mógł wynająć gospozię. Przy śniadaniu i obiedzie wyręczali go młynarczykowie.

– Przepraszam za śmiałość – usłyszał za swoimi plecami głos doktora. Domyślał się, o co tamten zamierza go prosić. „Co mi tam” – pomyślał, krojąc chleb i nakładając nań grubo masło. „Tyle drogi przebył, aby dotrzeć do mojego młyna, taki... – szukał słowa – entuzjasta”.

Doktor dukał – Czy nie mógłbym się u pana zatrzymać na tydzień? To dla mnie takie ważne. Sprawa życia i śmierci. Niestety – dodał – w tej chwili nie mam już zbyt wiele pieniędzy, ale...

– Zgadza się i nie mówmy o pieniądzech – Johann na tacy przyniósł ser i wędliny. – Nie zawadza mi pan. Proszę się czuć moim gościem.

Samuel złapał go za rękę i uściśnił tak mocno, że młynarz o mały włos nie upuścił tacy. Można było sądzić, że zamierza ucałować dłoń dobroczyńcy, jak to czynią katolicy, witając się ze swoimi biskupami, a nawet księżmi. Po kolacji badacz nawiedzonych domów przystąpił do właściwej opowieści.

– Szanowny panie Schmieden, muszę panu zakomunikować – zaczął uroczyście – że w pana domu pojawił się przed laty duch. Nie zamierzam – tu powtórzył się – pana straszyć. To fakt, zdarzenie fizyczne. Nieoceniony Pieter Feldgebel podał imiona i nazwiska kilku świadków, którzy widzieli zjawę. Mieszkali w okolicy, choć dzisiaj, oczywiście, nic nam po tym, skoro oni sami przenieśli się z bytu materialnego w niematerialny. Dziś z powodzeniem – zatarł rękę i błysnął okiem – mogą nas postraszyć i my mamy obowiązek o tym zaświadczyć. Widzi pan, jak to się w życiu układa. Zjawa, nasza zjawa, ta, o której wspomina Feldgebel, była młodą kobietą. Jej dziecko utopiło się w stawie przy młynie. To był wypadek. Dziecko bawiło się na skarpie i wpadło do wody. Ktoś, kto przechodził obok, słyszał jakieś krzyki, kto inny twierdził, że usiłował dziecko ratować. Próby nie powiodły się. Dziecko wyjęto ze stawu martwe. Zawiadomiono matkę. Feldgebel najpierw zapisał „a ona oszalała”, a potem zamienił to na „pękło jej serce”. Czy jednak wówczas, jeżeli wolno mi zauważyć, jej dusza tułałaby się po świecie? To zazwyczaj jest bolesnym przywilejem dusz potępionych. Niechciana nieśmiertelność – doktor podniósł palec do góry jak kaznodzieja. – Choć zdania wśród badaczy są podzielne w tej kwestii, ja skłaniam się ku starej ludowej wykładni. „Nie może odejść” – mówią w moich stronach – „bo jest uwięziona”. Być może Anna Schieling, bo tak nazywała się kobieta, odebrała sobie życie, a potem sąsiedzi, rozumiejąc powód jej grzesznego postępu, nakłonili księdza, aby w aktach parafialnych jako powód zgonu nieszczęsnej podał – zmarła na serce. Uniknięto w ten sposób niezdrowej sensacji, oszukano okrutny obyczaj, który nakazywał chować samobójców przy cmentarnym płocie. Anna Schieling, po cichym pogrzebie, spoczęła zapewne w ziemi obok swojego dziecka. Czasami nawet w naukowych badaniach trzeba bardziej zaufać instynktowi, uczuciom niż dowodom. Należy być czujnym, bo jak mawiał Arystoteles „mały błąd na początku, przy końcu staje się olbrzymi”.

Tego wieczora, zasypiając, Johann myślał o biednej Annie Schieling, której woda zabrała dziecko. Wypowiadając: „Chleba naszego powszedniego”, zobaczył koła młyńskie, usłyszał ich stukot i krzyk. Kto krzyczy? – zbudzony, rozglądał się po pokoju. To krzyczało jego serce. Potem długo w noc nie mógł zasnąć.

Pan Samuel zamieszkał w domu młynarza w pokoju na poddaszu. Sam wybrał ten pokój następnego dnia. Bardzo mu się spodobał. On sam i widok z okna, na dolinę. Był gościem

nieco kłopotliwym, wstawał w nocy i z lampką biegał po domu i młynie, rozsypywał biały piasek na progach, okrywał miski z wodą lekkimi jak gaza ręcznikami i sznurkami wymierzał przeróżne odległości, tak w pokojach, jak w piwnicach, również w ogrodzie. Wciąż coś zapisywał. Johann natykał się na niego w różnych osobliwych miejscach. Kiedyś omal nie wszedł mu na głowę, gdy ten, leżąc z uchem przy ziemi, nasłuchiwał, którędy biegają myszy. Oczywiście, zażył też doktor filozofii i medycyny solidnej kąpieli. Sam się o nią prosił. Tak długo pewnego dnia i z takim impetem przemierzał kładkę, przechodząc z jednego brzegu potoku na drugi, że, nadgniła w paru miejscach, pękła, a on, chyba zbyt przerażony, by krzyknąć, zanurzył się prawie po pas w zimnej wodzie. Znow zasiadł przy kominku otulony kocami, znow pił nalewkę, tym razem z dzikiej róży. Tak jak poprzednio, smakowała doktorowi bardzo. Dzięki niej z pewnością uniknął przeziębienia. Niemal codziennie też wybierał się zacny badacz na długie wędrówki po okolicznych wzgórzach i dolinach, odwiedzał mieszkających tam gospodarzy, zagadywał ich, udając botanika, a niekiedy znawcę ptaków. Polubiły go dzieci, bo uśmiechał się i wymyślał na poczekaniu zabawne wierszyki, a nawet, raz czy dwa, bawił się z nimi w ganianego. Korzystając z tak dobrego wywiadu, dotarł pan Samuel do Diabelskiego Kamienia i jego braciszków, głązów rozrzuconych wśród lasu, pokrytych mchem, które okoliczna ludność nazywała siedziskami biesa. Niektóre, jak choćby ten w wykrocie, pośród czarnego jaru, naznaczony był dziwnymi liniami, które przybysz z Berlina kopiował starannie przez kilka dni. Gdy wracał wieczorem do domu, był bardzo szczęśliwy. Nic co prawda nie wyniknęło konkretnego dla jego badań naukowych z tych eskapad, ale, jak przechwalał się badacz, mrużąc oczy i częstując młynarza uśmiechami:

– Osiągnięcie celów zamierzonych to moja pasja.

Myślał wtedy zapewne bardziej o Diabelskim Kamieniu niż o duchu Anny Schieling, który, jak dotąd, się nie pojawił.

Zainteresował się także Samuel Rhete przypadkami spalenia kilku kobiet na placu kaźni w pobliskiej Oliwie w latach sześćdziesiątych poprzedniego wieku. Korzystając z pomocy księdza Idziego, całymi dniami wertował znawca spraw tajemnych klasztorną bibliotekę i archiwum. Do domu wracał na kolację i nocleg. Uwielbiał pracować wśród ksiąg. Tam dopiero czuł się jak ryba w wodzie. Niecierpliwym, podczas kolacji mówił do Johanna z pełnymi ustami, mówił, gdy pisał i gdy czytał.

– To podzielność uwagi, mój panie – wyjaśniał – taki sam był Cezar.

Z pasją opowiadał, jak to sądzona Krystyna podczas tortur przyznała się do obcowania z diabłem Johannem, do uroczenia konia i zabicia pieska. Druga czarownica, młoda,

dwudziestoletnia, żyła z Szymonem, też diabłem. On zabierał ją na tajemne spotkania, które organizowano w okolicy, pośród tych lasów i gór. Obie zginęły, biedaczki – powiedział ze współczuciem doktor Samuel – jako, być może, ostatnie ofiary ciemnoty. Zostały ścięte, a następnie spalone.

– To było tak niedawno – ubolewał. Żał mu było tych kobiet.

Johann pomyślał, że doktor z Berlina to dobry człowiek.

Mimo usilnych wyczekiwań żaden duch nie zamierzał wpaść w sidła naukowca. Zrozpaczony, w pewnym momencie sprzeniewierzył się samemu sobie i, zaniechawszy naukowych metod, zaczął w tajemnicy przed młynarzem praktycznie wykorzystywać wiedzę, którą się brzydził – magię z chaty czarownika.

Łazikując o północy po schodach od piwnicy po strych, powtarzał dziwaczne formuły zaklinań, a wreszcie, pewnej nocy, próbował na swoje poddasze wezwać ducha, korzystając ze wskazówek maga Efrema Prodroma z Amsterdamu, autora „Tronu Salomona” – podręcznika magii praktycznej. Omal nie skończyło się to dla niego tragicznie, albowiem w kulminacyjnym momencie obrzędu wmieszał się weń kot Barnaba, jeden z mieszkańców obejścia. Od dłuższego czasu przyglądał się z parapetu widowisku przywoływania zmarłego i zapragnął na swój sposób uczestniczyć w nim pełniej. Zamiauczał żałośnie niczym potępiona dusza, a potem przez uchylone okno wpadł do pokoiku. Wiatr zgasił jedną ze świec. Doktor medycyny i badacz nawiedzonych domów miał, jak się okazało, słabe nerwy, zemdlał raptownie i upadając, nabił sobie solidnego guza na czole, tak, że niemal do końca pobytu w dolinie wyglądał, jakby mu rogi zamierzały wyrosnąć. Zaalarmowany hałasem młynarz ocucił go i złajał. Miał rację, takie zabawy ze świeczkami mogły się zakończyć pożarem.

– Nigdy więcej – zaklinał się Samuel. – Nigdy, nigdy, nigdy – bił się w piersi, aż dudniło, i dotykał krzyżyka zawieszzonego na szyi. Nie sposób było gniewać się na niego. Swoim brakiem umiaru rozbrajał każdą złość. Tego dnia wieczorem – aby pobudzić krążenie i poprawić nastroje po ubiegłej nocy – wypili nową naleweczkę, tym razem z leśnych jagód.

– Rozkosze – przymykał powieki Samuel.

Zagrali też w karty, w bassetę. Młynarz nie pamiętał już nawet, kiedy ostatnio grał w karty. Wieki temu. Czas mijał tak szybko, ani się obejrzeni, zleciały cztery tygodnie.

Młynarz polubił doktora dwojga nauk, Samuela Rhete, który był tak różny od ludzi, z którymi dotychczas się stykał. Kiedy na progu zimy poczciwy naukowiec z poważną miną zastąpił mu drogę i powiedział – Wyjeżdżam – młynarzowi zrobiło się żal.



Pan Samuel nie krył łez, ocierał je i ocierał, a łzy pojawiły się w kącikach jego bladoniebieskich oczu.

– Niestety, nie spotkałem żadnego ducha – mówił przez łzy – ale za to poznałem wspaniałego człowieka, proszę pozwolić się nazwać moim przyjacielem – wydmuchał nos w ogromną chustkę i rzucił się z otwartymi ramionami do młynarza.

Johann był zażenowany, nie wiedział, co robić, naukowiec wciąż zaskakiwał go swoim zachowaniem. W końcu przemógł się i wymienił uściski. Nigdy wcześniej tego nie robił, chyba że z nieboszczką żoną, ale to było zupełnie co innego. Pomyślał, prawie powiedział – Drogi Samuelu, ja jestem duchem w tym młynie – gardło ścisnęła mu obręcz równie silna jak pętla wisielcza.

– Chyba powinienem obrać inny temat badań – rozprawiał niepokieszony pan Rhete – widocznie duchy nie lubią mnie – uśmiechnął się, tym razem gorzko.

Spadł właśnie pierwszy śnieg, kiedy otulony w ciepły płaszcz – dar od młynarza – i szal – także dar – i rękawice, z torbą przeróżnych wiktuałów ruszył w drogę.

Usiadł z tyłu furmanki zaprzyjaźnionego gospodarza – „żeby ten obraz” – tu spojrzał na dolinę ośnieżoną, piękną jak z bajki, i Johanna – „na dłużej pozostał w moich oczach” – tak powiedział.

Machał ręką na pożegnanie tak długo, jak długo było go widać. Nowa śnieżna chmura odczekała, aż zniknie za zakrętem, a potem rozpadła się na miliardy białych gwiazdeczek, które na szerokiej dłoni młynarza, roztopiały się szybciej, a jeszcze szybciej na policzkach. – To śnieg – szeptał do siebie Johann, zaciskając co chwila wilgotne powieki – to parujący śnieg – powtarzał łamiącym się głosem.

Zanim wszedł do domu, otarł twarz rękawem i westchnął tak głęboko, że odczuła to chyba cała dolina.

Kilka dni później, po kolacji, Johann usiadł jak zawsze w kuchni przy piecu i zapalił fajkę. Na dworze było już ciemno. Po nogach, otulonych ciepłymi, wełnianymi skarpetami, wionęło leciutkim chłodem. Chłód, jak obcy, zły pies, szwendał się po domu, przycajony, gotowy, aby dopaść łydek, pięt. Kuchnia i tak była najcieplejszym pomieszczeniem w domu. Tutaj siadywali kiedyś wszyscy razem, tu było najgwarniej, wesoło. „Jakież cudowne bywały tamte wieczory. Nie wiedziałem, że to było moje szczęście, dopóki go nie straciłem” – powtarzał to, co wielu powtarza. Słyszał głosy swoich najbliższych, ilekroć zamknął oczy. Mógł godzinami siedzieć, spoglądając przez otwarte drzwi na korytarz prowadzący do wyjścia. Nie rozmyślał, nie drzemał, po prostu tkwił na zydelku oparty o piec i pykał z fajeczki dym, a potem, gdy tytoń się dopalił, już nie pykał, tylko z bezużyteczną fajką

w zębach udawał mebel. Było w nim tyle samo życia co w stole, komodzie, krzesłach, ławie. Gdy wypadła mu z rąk fajka, a węgielki – co za traf – rozsypały się po podłodze, zmuszając go do porzucenia kamiennej pozy – był zły. Przyklęknął i wtedy kątem oka uchwycił ruch, co pojawił się w okolicach drzwi, przy progu, jakby przebiegnięcie myszy.

Przyczał się jak kot, udając zainteresowanie porcelanowym cybuchem, aby nagle odwrócić głowę i stanąć twarzą w twarz ze zjawą. Kobieta zamierzała uciec, rozpląnąć się, zniknąć, ale nie zrobiła tego. On ujrzał w jej oczach to, co widział w swoich, gdy przeglądał się w lustrze – bezmierny smutek. Przypomnił sobie jej imię.

– Anno – powiedział, a ona drgnęła. Nie podnosząc się z kolan, poprosił: – Odwiedzaj mnie, jestem taki samotny.

Odtąd w młynie było ich dwoje: człowiek – duch i duch człowieka.

*Waldemar Borzestowski*